

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Kaszel szprotki

Gdy gdzieś w połowie „Apokalipsy homara” grająca rolę pani domu Paige Maja Barełkowska po raz osiemdziesiąty siódmy albo osiemdziesiąty dziewiąty z rzędu (przestałem notować po razie siedemdziesiątym siódmym, stąd ma niepewność) zarządziła: „Poprosimy o drinki” - grający rolę męża Paige, pisarza Larsa, Krzysztof Górecki idzie z rozpaczy na całość i do Kelnera (Jan Nosal) powiada: „Dla mnie od razu pięć!”.

Nawet nie przypuszczasz, drogi Lars, jak dobrze cię rozumiem! Tak, od razu pięć, bo ileż można tak kuśtykać niemowlęco, wciąż tylko po jednym naparstku połykać i mordować się straszliwie, czekając, aż połowica enty raz w identycznym stylu znów to samo kutwiarskie, psychicznie wykańczające zarządzenie wyda tysemu ponurakowi, co w drzwiach stoi, i którego najwyraźniej wziął w swe posiadanie zgubny natóg abstenencji!!! Lars, bracie mój...

Mamy oto na scenie uroczysty obiad, co go na cześć nowej książki swego męża-filozofa Paige dla przyjaciół wydała, a Lars w połowie składa zamówienie idące na całość. Żąda „luf”, pragnie baterii przeźroczyстых „moździerzy”, skowycze o „ogień ciągły”, prosi o wódczaną „Katuszę”, albowiem - nie chce umrzeć z nudów. Ufa, że zmiana rytmu wychylenia choć na chwilę zatrzyma morderczą monotonię wieczoru. Zapewne nie było to przez reżysera Włodzimierza Nurkowskiego zamierzone, ale stało się. Otóż, „Katuszowa” desperacja złamanego Larsa - to najgłębsza recenzja dzieła Nurkowskiego.

Od razu dwie rzeczy powiem. Po pierwsze, wysoko cenię reżyserów, którym - obojętne, czy świadomie, czy też na zasadzie ślepej kury i ziarna - udaje się stworzyć zarazem dzieło i jego krytykę. Po drugie, co łatwo zgadnąć - zgadzam się z Larsem.

Lars ma świętą rację - w rytmach swych, w tempach kolejnych scen, w temperaturach dialogów, w temperamentach aktorskich, wreszcie w napięciu całej fabuły ta „Apokalipsa homara” jest płaciućka niczym jesienny kaszel szprotki. Nie ma się czym przejmować, za tydzień śladu nie będzie. No dobrze, ale czemu, na Boga, dopiero za tydzień!

Dlaczego „Apokalipsa homara” trwa - właśnie trwa, nie toczy się, nie biegnie, nie rozwija się, nie posuwa i nie zmienia miejsca drzemki - dwie godziny i dwadzieścia minut? Po co aż tyle, skoro po kwadransie wszystko jest jasne? Szprotka udaje!

Cóż, autorce - Moirze Buffini - pisanie poszło tak, że nie poszło za daleko. Próbowwała skleić tzw. czarną komedię. W formie teatralnej, co ma godzić sprzeczności - śmiech i trupa, kabaret i wypruwanie flaków, farsę i krew trzewi - w tej iście oksymoronicznej formie dramatycznej próbowała opowiedzieć historię publicznego samobójstwa. Rzecz o obiedzie ku czci

męża, ale i obiedzie z trupem w finale. A po drodze tzw. psychodrama, opadanie masek, wywlekanie na jaw wszelkich rodzinno-miłosno-erotyczno-myślowych brudów gospodarzy i zaproszonych gości: właśnie porzuconej artystki malarzki Wynne (Małgorzata Kochan), mikrobiologa Hala (Tadeusz Piotr Łomnicki), seksbomby Sian, aktualnie z Halem (Patrycja Durska-Mruk), i gościa niespodziewanego Mike'a (Marcin Stec).

No i tak, proszę ja was, siedzą, piją, lulki palą. Tańców, hulanków i swawoli brak, za to jest skakanie sobie do gardel, skakanie ku wielkiej uciezce Zygmunta Freuda. Ładnie, ładnie - jak mawiał wielki rektor PWST Eugeniusz Fulde - ino po co? A w finale dzieje się to, co jest od dwóch godzin jasne. Paige samodzielnie nadziewa się na nóż trzymany w dłoni pozornego Kelnera, który oto okazuje się aniołem zagłady. U Nurkowskiego - łysym aniołem.

Myślę za Fuldem: po co z kuśtykaniem Buffini się mordować, skoro można - z grubsza w tej samej materii ciemnego śmiechu - wejść w zwarcie z Gombrowiczem i jego „Zbrodnią z premedytacją” albo też z klasyczną „Kraką” Dürrenmatta. Zresztą, jest coś bliżej. Dopiero co Nobla otrzymał dramaturg, który - że dowcipnie powiem - całkiem jak Buffini para się pokazywaniem przepaści skrytych pod werniksem codziennego szczebiotania ludzkiego.

Ale cóż, jest jak jest. Jest Buffini i jest Nurkowski, który najwyraźniej uległ monotonii Buffini. Od początku wszystko jasne na scenie, jasne i obłe, jak te monstrualne czerwone piłki, na których siedzą bohaterowie. I szybko żal, że tak błyskotliwie rolę swą ustawiwszy w pierwszym kwadransie (nie będę zdradzał smaków - idźcie i sami zobaczcie!) Barełkowska przez następne dwie godziny dryfuje po niezmiennej tafli wciąż tych samych gestów, tych samych intonacji i wciąż tę samą maskę sztucznego uśmiechu na twarz nakłada. Jeśli kobieta każdą kolejną wódkę, która do śmierci przybliży, zamawia wciąż w ten sam, małpio wyuczony sposób, to jak w finale przejąc się prawdą noża dziurawiącego brzuch nudziary? Nie sposób. Tu raczej trzeba westchnąć: świetnie, nożu, ale czemu, kretynie, tak późno?

Słowem, nie ma powodu, by na Buffini, na tym przedstawieniu, które nie jest ani tragiczne, ani świetne, bo jest dojmująco monotonne, siedzieć aż tyle czasu. Owszem, jest przerwa, ale niestety stanowczo za krótka, by się w niej zmieścić ze „strzeleństwem” w barze od razu pięciu naparstków ocalających.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. Moira Buffini „Apokalipsa homara”. Reżyseria i opracowanie muzyczne Włodzimierz Nurkowski. Scenografia Marek Braun. Kostiumy Jolanta Łągowska.